GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych



ROK IV | W OBOZIE, DNIA 1 KWIETNIA 1943 R. | NR 7 (63)

Nasza granica wschodnia

W związku z ujawnionymi ostatnio roszczeniami sowieckimi do wschodnich ziem Polski, podajemy genezę wytyczenia ostatniej granicy polsko-rosyjskiej.

REDAKCJA

Nie ulega wątpliwości, że nasze granice, w których nas wojna 1. września 1939 zastała, nie są granicami zaboru, lecz kompromisu. Obejmują one tylko ziemię polską, której nie ma dla nikogo ani na sprzedaż ani do odstąpienia. Toteż nie o bezsprzecznej słuszności tych granic, tylko o historii ustalenia jednej z nich, a mianowicie — granicy wschodniej kilka słów dzisiaj powiemy.

Jak wiadomo, traktat wersalski nie ustalił granicy polsko-rosyjskiej. Ówczesne mocarstwa sprzymierzone nie uznawały jeszcze wówczas Sowietów, a Wielka Brytania i Francja, liczące się poważnie z możliwością przywrócenia władzy carskiej w Rosji, nie chciały jej czynić trudności przez niedogodne ustalanie rosyjskiej granicy. Trzeba bowiem pamiętać, ze Francja jeszcze w przede dniu wybuchu pierwszej rewolucji rosyjskiej (marzec 1917) zobowiązała się wobec Rosji do traktowania sprawy polskiej jako sprawy wewnętrznej cesarstwa rosyjskiego. Zobowiązanie to nawet po zwycięskiej rewolucji w Rosji nie zostało przez Francję odwołane — odwołał je Kiereński, uznając bez zastrzeżeń niepodległość Polski. W r. 1920 państwa zachodnie zachęcały Polskę do wojny z Sowietami, choć zarówno dla państw zachodnich, jak zwłaszcza dla Polski było jasne, że gdyby Sowiety były się załamały i carat powrócił do władzy, to kto wie, czy Polska w ogóle by się utrzymała jako państwo niepodległe. Art. 87 traktatu wersalskiego przekazał sprzymierzonym sprawę ustalenia w późniejszym czasie tych granic Polski, które w samym traktacie nie zostały ustalone. W związku z tym upoważniono 8 XII 1919 Polskę do utworzenia na wschodnich obszarach kresowych normalnej administracji państwowej w obrębie ustanowionej w tym celu tymczasowej linii demarkacyjnej, przy czym w uchwale, powziętej w tej sprawie przez Radę Najwyższą Głównych Mocarstw Sprzymierzonych i Stowarzyszonych, podkreślono:

1) że linia ta nie oddziela Polski od Rosji na całej długości obszarów obu państw, lecz pozostawia nadal w zawieszeniu rozgraniczenie Małopolski z Rosją, oraz że

2) jednocześnie z ustaleniem tej linii Rada Najwyższa zastrzegła wyraźnie prawo, służące Polsce do roszczeń także co do obszarów, położonych dalej na wschód. Ponieważ Małopolska Wschodnia nie wchodziła nigdy w skład państwa rosyjskiego, wobec tego Rada Najwyższa sprawy tej w ogóle nie rozstrzygała.



Ustalona przez Radę Najwyższą linia demarkacyjna biegnie, jak to wskazuje zamieszczona niżej mapka (przerywana kreska), przy czym, co już wyżej zaznaczyliśmy, nie obejmuje ona wcale niewątpliwej nawet wtedy (w sensie przynależności do Polski) Małopolski Wschodniej. Linia ta otrzymała nazwę tzw. linii Curzona (czytaj: Kerzona) dopiero później i w okolicznościach całkiem odmiennych. Mianowicie, w czasie wojny polsko-sowieckiej brytyjski sekretarz spraw zagranicznych lord Curzon z polecenia swego rządu zwrócił się 11 VII 1920 do rządu polskiego i sowieckiego z wezwaniem, aby wojska polskie wycofały się z chwilą podpisania rozejmu na powyższą linię (rozpoczynającą się jednak

dopiero od Grodna) oraz aby wojska sowieckie zatrzymały się w odległości 50 km na wschód od tej linii. Jeśli chodzi o Małopolskę Wschodnią, to — zgodnie z intencją rządu angielskiego, wyrażoną przez lorda Curzona — każda z armii miała się zatrzymać na linii zajmowanej w dniu rozejmu. Ale rząd sowiecki, który pamiętał, że mocarstwa sprzymierzone jeszcze niedawno popierały działania wojsk obcych w Rosji i nie dopuściły do ustalenia granicy polsko-sowieckiej w traktacie wersalskim dlatego, że liczyły na powrót caratu — odrzucił to pośrednictwo Wielkiej Brytanii i — zgodnie z postanowieniem sowieckiej Rady Najwyższej — ogłosił w deklaracji »do rządu polskiego i ludu polskiego« z 28 I 1920 uznanie »bezwarunkowo i bez żadnych zastrzeżeń niepodległości i suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej«, wyrażając jednocześnie gotowość zatrzymania wojsk sowieckich na linii, biegnącej znacznie na wschód od projektowanej przez mocarstwa sprzymierzone (czyli późniejszej linii Curzona), a mianowicie na linii rzeki Dryssy i miast Połock, Borysów, Cudnów i Bar. W ten sposób linii Curzona przeciwstawiły Sowiety linię Cziczerina, Lenina i Trockiego. Niedługo potem (5 VIII 1920) sowiecki komisarz ludowy Kamieniew doniósł w depeszy do Lloyd George'a, że rząd sowiecki »mocno obstaje przy swoim uznaniu wolności i niepodległości Polski, jak również przy swojej dobrej woli przyznania państwu polskiemu s z e r s z y c h granic« niżby to wynikało z tzw. »linii Curzona«.

Warto zauważyć, że stanowisko rządu sowieckiego w tej sprawie było wtedy całkiem niezależne od sytuacji wojskowej, gdyż pierwsze oświadczenie (z 28 I 1920), zgodne całkowicie z następnym, złożone było, gdy wojskom polskim sprzyjało powodzenie, drugie zaś (z 5 VIII 1920), gdy powodzenie to przechyliło się na rzecz Sowietów.

Podczas rokowań pokojowych w Rydze przewodniczący delegacji sowieckiej Joffe, oświadczając gotowość podpisania traktatu pokojowego, ponowił parokrotnie już złożoną deklarację Sowietów, odrzucającą linię Curzona, i stwierdził, że granica polsko-sowiecka p o w i n n a być położona dalej na wschód. Istotnie, granica polsko-sowiecka, oparta na traktacie ryskim, podpisanym 18/III 1921, przebiega na wschód od tej linii, jednakże nie dosięga znowu w żadnym punkcie linii, proponowanej przez Cziczerina, Lenina i Trockiego (28/I 1920). To umiarkowanie w ustaleniu granicy obu państw, idące między dwiema znacznie od siebie różniącymi się tymczasowymi liniami demarkacyjnymi, stanowi oczywisty d o w ó d, że pokój ryski oparto nie na wymuszeniu, ale na kompromisie. Tak też zrozumiały pokój ryski mocarstwa zachodnie, które — gdy sytuacja na wschodzie się ustaliła i majak powrotu cesarstwa w Rosji przestał mącić równowagę ducha polityków Londynu i Paryża — uznały granice wschodnie Polski 15/III 1923 r. bez żadnych zastrzeżeń. To samo uczynił jeszcze raz Związek Sowiecki, zawierając z Polską 25/VII 1932 r. układ o nieagresji, który — odnowiony 5/VII 1934 — miał obowiązywać do końca 1945 r. Układ ten n i e Polska zerwała, to też do tego właśnie układu nawiązywała ona 30/VII 1941, zawierając z Rosją w Londynie nową umowę, kończącą stan wojny między obu państwami.

Jak wynika z powyższych wywodów, tzw. linia Curzona nigdy nie miała stanowić granicy między Polską a Związkiem Sowieckim: początkowo była ona pomyślana jako linia tymczasowa, w której obrębie Polska miała utworzyć normalną administrację, później — w związku z propozycją lorda Curzona — pomyślana była jako linia zatrzymania wojsk polskich. Rozgraniczenie, ustalone tymczasowo przez państwa sprzymierzone, zastrzegało wyraźnie Polsce prawo do roszczeń terytorialnych na wschód od tej linii. Sowiety nie tylko nie zgodziły się na uznanie tej linii, ale otwarcie się jej sprzeciwiały i w urzędowych dokumentach potępiały tę linię, którą uważały za wynik intrygi rosyjskich kół kontrrewolucyjnych.

Wreszcie należy zaznaczyć, że okupacja ziem polskich, dokonana przez Związek Sowiecki we wrześniu 1939, była zgodna z linią Curzona t y l k o wzdłuż środkowego biegu Bugu (patrz linię kropkowaną na mapce), obejmując zresztą ziemie, które należały do Polski bądź od samego początku jej istnienia (płn. część Mazowsza z Łomżą i Ostrołęką, a z przerwą także Małopolska Wschodnia ze Lwowem), bądź przez długie wieki — najmniej przez 400 lat; do Związku Sowieckiego natomiast nie należały bądź nigdy (Małopolska Wschodnia), bądź przez krótki okres rozbiorów Polski.

Obszar Polski w przebiegu dziejów

Rok 1024	Bolesław Chrobry	333.000	km kw
„ 1138	Bolesław Krzywousty . . .	266.000	„ „
„ 1492	Kazimierz Jagiellończyk . . .	1.115.000	„ „
„ 1618	Zygmunt III Waza	1.017.000	„ „
„ 1770	Stanisław August Poniatowski .	733.000	„ „
„ 1773	Po pierwszym rozbiorze . . .	520.000	„ „
„ 1793	Po drugim rozbiorze	212.000	„ „
„ 1809	Księstwo Warszawskie . . .	153.800	„ „
„ 1816	Królestwo Kongresowe . . .	127.320	„ „
„ 1939	Rzeczpospolita Polska . . .	389.720	„ „

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA



A my będziemy wspominać

Jeszcze teraz, teraz nie zgoreję,
jeszcze nie od tego, co idzie, gromi.
Przywieje mię wiatr, pajęczyną przywieje
do domu.

U wrót złamany będzie zamek,
nad drzwiami — strzaskany obrazek.
Posiadamy na kamionach, posiadamy,
jak tamtym razem.

Szczyty owych lip miodem powioną,
z tamtych okien chuchnie razowym chlebem —
tak własnie, jak dla dusz zbawionych
pod samym niebem.

Trzeba będzie przestąpić grób
i gorszą od grobu — nienawiść...
Przyjdą lniano włose dzieci do stóp
nam się bawić.

My będziemy od początku zaczynać
opowieść zawsze jednaką —
i wspominać, wspominać, wspominać —
i płakać — i płakać...

Ścieżka graniczna

(Wyróżnione na III konkursie »Gońca Obozowego«)

Było nas trzech, pozostawionych własnemu losowi.

Gdy ustały już działania wojenne, znaleźliśmy się w małej wiosce francuskiej, leżącej niedaleko głównego traktu. Gospodarze, u których znaleźliśmy chwilowy przytułek, choć niedwuznacznie akcentowali swoją do nas nieufność, udzielili nam gościny, przebierając w jakieś znoszone, rodzinne łachy oraz godząc się na 3 posiłki dziennie wzamian za pomoc przy gospodarstwie. Zbliżała się pora sianokosów, a łąk mieli sporo...

Jednak myśl o przedarciu się do własnych oddziałów, grupujących się niewątpliwie gdzieś na wolności, nie opuszczała nas ani na chwilę. Trudniej było przedostać się na południe kraju — linia bowiem demarkacyjna odległa była od nas o 250 km, ale o wiele bliżej, bo — jak wykazywała zachowana przezornie mapa — o 48 km od naszego ówczesnego miejsca postoju biegła granica jednego z wolnych państw neutralnych. Postanowiliśmy zatem wszyscy — Zenek, Janek i ja — dociągnąć do tej granicy.

Zgodnie wybrany przez kolegów na przewodnika, zająłem się szczegółowym wytyczeniem drogi i ustaliłem datę nieodwołalnego wymarszu.



Od wczesnego ranka mżył dokuczliwy deszcz. Zaopatrzeni w żywność na dwa dni i dźwigając dla lepszego zamaskowania celu naszej wędrówki łopaty i motyki, ruszyliśmy w drogę. Przy zastosowaniu wszelkich możliwych środków ostrożności, radząc się często malutkiego kompasu i większej mapy, nieodzownej w obcym kraju, dobrnęliśmy szczęśliwie pierwszego dnia do uplanowanego zgóry punktu. Nocleg wybraliśmy w zagajniku, opodal dość dużej wsi. Deszcz nie przestawał padać, co — do pewnego stopnia — było nam nawet na rękę: w taką psią pogodę nikt przecież nie zechciałby się nami zajmować. Z ludźmi unikaliśmy spotkań, a nawet gdy pod samym nosem jakiegoś plutonu pionierów przekraczaliśmy rozwalony most na rzece — jakoś to nam poszło.

Zmoczeni do nitki i zziębnięci, spędziwszy noc na posłaniu z gałęzi sosnowych, powitaliśmy nowy dzień z nadzieją i otuchą. Przecież za parę godzin mieliśmy być wolni!

Lało wciąż bez przerwy. Chleb, ser i woda deszczowa stanowiły nasze śniadanie, po którym ruszyliśmy w drogę. Druga przeprawa przez rzekę i tym razem odbyła się bez przeszkód. We znaki dawała się jedynie wyczerpująca trasa, biegnąca stromymi stokami wysokich, zalesionych wzgórz lub opadająca gwałtownie ku błotnistym łąkom.

O godz. 18 tylko 3 km dzieliły nas od celu. Spoza chmur ukazało się słońce. W pobliskiej chałupince zasięgnąłem języka o tym, jak i w jakim miejscu należało przekroczyć granicę, patrolowaną, jak się okazało, dość pilnie.

Już na tym ostatnim etapie naszej wędrówki tknęło mnie w pewnej chwili jakieś nieokreślone, niedobre przeczucie. Nie zwierzyłem się, oczywiście, z niego moim towarzyszom, ale postanowiłem odtąd mieć się na baczności. Z mapy w lesie trudno się było orientować, ale kompas zawieść nie powinien. Ścieżka, na którą weszliśmy po godzinnym ostrożnym marszu, wiła się w zaroślach tak gęstych, że bez przerwy niemal musieliśmy odgarniać ocierające się o nas mokre gałęzie leszczyn. Jak na przewodnika przystało, szedłem pierwszy, za mną o jakieś 10 m posuwali się w ciszy gęsiego obaj koledzy.

Wtem, jak spod ziemi, wyrosło przede mną 2 ludzi. Dwóch żołnierzy. Musieli się widocznie również skradać, gdyż natknąłem się na nich dopiero na 3 kroki przed sobą i przez obydwóch naraz zostałem zatrzymany okrzykiem.

W chwilach nagłych i nieoczekiwanych sytuacyj ogarnia często człowieka jakiś zdeterminowany spokój. Patrząc bez wzruszenia w oczy moim przeciwnikom, zrozumiałem, że jedynym celem ich zainteresowania była wyłącznie moja osoba. Więc tamci — za mną — albo lada sekunda wpadną na naszą grupę albo też, słysząc co się dzieje, zdołają ukryć się w krzakach, oczekując na dalsze wypadki.

Wzajemne nasze badanie nie trwało dłużej od czasu, potrzebnego do wypowiedzenia sobie w duchu słowa »peeech!« Wreszcie jeden z żołnierzy, kapral, głosem nadmiernie podniesionym, którym starał się pokryć uczucie zaskoczenia, równe chyba mojemu, jął mnie szybko wypytywać, com za jeden, skąd i co tutaj, na samej granicy, robię. Odpowiedziałem, jak mogłem najspokojniej, w języku francuskim oczywiście, że nie bardzo rozumiem, o co mu chodzi. Postanowiłem nie przyznawać się w żadnym wypadku, że znam ich język oraz udawać chłopa, zdążającego do wsi X w poszukiwaniu pracy. Dwujęzyczna nasza rozmowa odbywała się monosylabami, z tą przewagą po mojej stronie, że orientowałem się w ich wzajemnej rozmowie, a oni nie bardzo mogli sobie poradzić z moim, przyswojonym od wieśniaków francuskich, szybkim potokiem niewykończonych słów.

Papierów — tłumaczyłem im — nie mogłem mieć żadnych, gdyż dowód osobisty musiałem pozostawić w merostwie opuszczonej niedawno przeze mnie wsi, a otrzymać go miałem dopiero po zgłoszeniu się na nowe miejsce pracy. Widocznie ton moich perswazyj wydał się im przekonywujący, gdyż w pewnej chwili zdecydowani wydawali się puścić mnie wolno, po namyśle jednak i, jak wywnioskowałem z ich między sobą rozmowy, z obawy odpowiedzialności przed władzą — kazali mnie iść naprzód, sami zaś, jako konwojenci, pomaszerowali za mną. I co za ironia: po przejściu jakichś 100 chyba metrów minęliśmy o kilka kroków zaledwie piękny duży kamień graniczny, do którego zmierza-

łem z mymi przyjaciółmi!.. Ale o los ich mogłem być spokojny: musieli zapewne słyszeć moją rozmowę z patrolem, zaszyć się w las, a więc po przeczekaniu niebezpieczeństwa przejdą granicę niezauważeni.

Trzeba było pomyśleć o sobie. Toteż całą drogę do posterunku granicznego zastanawiałem się nad tym, jak pozbyć się kompromitujących mnie papierów i różnych drobiazgów, które zdradzały bez żadnych wątpliwości moją narodowość, przydział i cel wędrówki.

Po półgodzinnym marszu zostałem postawiony przed oblicze jakiegoś młodego porucznika z »żelaznym krzyżem« na piersi. Nie raczył on nawet do mnie przemówić: po bacznym oglądnięciu mojej osoby i odebraniu meldunku od moich stróżów, kazał odstawić mnie do dowództwa kompanii. Nastawiony ciągle na to, ażeby pozbyć się jakoś moich rzeczy, które mogłyby mnie skompromitować... poczułem ogromne pragnienie, zamierzając napić się wody z niedalekiej studni. Cóż, kiedy tej samej chęci uległ — na rozkaz — również pilnujący mnie żołnierz... Z ostentacyjnie nabitym w moich oczach karabinem poprowadził mnie więc dalej nowy mój strażnik.

Tymczasem zapadł zmierzch. Gdyśmy dobrnęli do budynku, w którym mieściło się dowództwo kompanii granicznej, czarna chmura nad naszymi głowami rozładowała się rzęsistym deszczem. Wobec tak nagłej zmiany pogody, z drwiącą uprzejmością zostałem zaproszony do kuchni, zatłoczonej już sporą ilością żołnierzy. Kończyli właśnie wieczerzę. Dali i mnie trochę zimnej kawy i chleba. Choć byłem głodny, nie mogłem nic do ust włożyć, czujnie wsłuchując się w rozmowę otaczających, której centralnym tematem była oczywiście moja osoba. Coraz to któryś zbliżał się do mnie i niby to żartem zwracał się w tym lub owym języku:

— Tyś pewnie oficer? Coś w ogóle za jeden?

Ale już teraz niełatwo było mnie zbić z tropu. Opanowany zupełnie, tłumaczyłem im, iż nie rozumiem, dlaczego mnie tutaj trzymają, że nigdy w wojsku nie byłem, bo jestem chory na płuca itd. Widząc, że nic ze mnie nie wyciągną, dali mi wreszcie spokój, tym bardziej że i tak niewiele z tego, co mówiłem, rozumieli. Wreszcie ich dowódca, który w między czasie porozumiewał się widocznie ze swoją władzą, przyszedł do mnie i, śmiejąc się rubasznie, zaproponował:

— No i jak? Wypchniemy cię chyba na dwór? Postoisz tam sobie przez całą noc z naszym wartownikiem, żebyś nam tutaj nie przeszkadzał!

Zebrani ryknęli śmiechem. Wodząc po nich oczyma i udając, że nie wiem, o co chodzi — śmiałem się wraz z nimi z najgłupszym wyrazem twarzy, na jaki stać mnie było w tej chwili. Gdy oficer ostatecznie zapędził wszystkich do snu, nasłał na mnie jakiegoś kaprala, który w dość poprawnym języku francuskim począł mnie poufale wypytywać, jak to jest ze mną naprawdę. Oczywiście, nic z tego nie wyszło. W rezultacie musiałem pójść spać do lochu pod klapą w podłodze kuchni. Trudno było zbyt wygodnie się urządzić na przestrzeni półtora metra kwadratowego z garstką brudnej słomy pod głowę. Ubranie miałem wilgotne, byłem zziębnięty, zmordowany fizycznie, a więc długo nie mogłem zasnąć. Rozpoczęło się od rozważań na temat, jak postępować dalej. Dzień następny miał być niewątpliwie krytycznym. Początkowo wszystko to, co miałem przy sobie, a co mogłoby się przyczynić do ustalenia mojej osobowości, zamierzałem złożyć do torby na jedzenie i zakopać w loszku, w którym kazano mi nocować. Nad ranem żal mi się jednak zrobiło tych rzeczy, zwłaszcza że dotychczas nie przyszło im wcale do głowy mnie zrewidować, więc ostatecznie postanowiłem ryzykować dalej.

Dzień wstał cudownie świeży i słoneczny. Śniadanie było podobne do wczorajszej wieczerzy. Przestałem już jednak być atrakcją, toteż bez żadnych, na szczęście, ceregieli odesłano mnie natychmiast do dowództwa batalionu. Konwojentem moim został — widocznie ze względu na język francuski — mój wczorajszy »poufny« rozmówca, zaopatrzony dzisiaj w karabin z nasadzonym bagnetem.

Po dwóch kilometrach tego nowego marszu uczułem, że palce u nóg mam we krwi. Trzy dni i dwie noce bez zdejmowania obuwia zrobiły swoje.

W drodze, przed samą komendą batalionu, nadarzyła mi się doskonała sposobność do stworzenia sobie pozoru alibi. Naprzeciw nas szedł wieśniak z kosą na ramieniu. Zatrzymałem go i nawiązałem z nim rozmowę, jaką często prowadzą ze sobą przygodnie spotykający się chłopi francuscy: szeroko i o niczym. Zacząłem chłopka wypytywać, jak się powodzi p. Dupont, którego naturalnie nie znał; stwierdziłem dalej, że p. Duclos — rzeźnik — robi teraz kiepskie interesy, o czym zresztą wiedziałem przypadkowo. Mój rozmówca przytakiwał i biadolił. Rozstaliśmy się, jak starzy znajomi. Jakżeż później zbawiennym stał się dla mnie ten drobny epizod z drogi!

Przed siedzibą komendy, pomny na zgóry powzięte postanowienie, rzuciłem niedbale sakwę z moimi rzeczami wprost na chodnik przy schodach, wiodących do gmachu. Stawiałem wszystko na jedną kartę, ufając jedynie łasce losu.

Wbrew moim przewidywaniom w batalionie mieli widocznie bardziej pilne sprawy do załatwienia, aniżeli guzdrać się z jakimś przygodnym przechodniem-Francuzem, więc po meldunku złożonym przez kaprala, kapitan, zrezygnowany z dociekania powodów mojej przygranicznej wędrówki, zapytał tylko o personalia. Szczegóły na ten temat miałem już w pamięci przygotowane zawczasu, więc wyrecytowałem je bez zająknięcia i w ten sposób dostarczyłem materiału do krótkiego pisemnego protokułu, wręczonego potem w zaklejonej kopercie memu strażnikowi. Po tej formalności ruszyliśmy dalej. Torba, droga kryjówka moich tajemnic, leżała nietknięta przed progiem.

— Dokąd znowu? — pytam.

— Do miejscowości X, gdzie się znajduje sztab całego rejonu wojskowego.

Odpoczywając często ze względu na upał, dotarłem wreszcie do opasłego podpułkownika, urzędującego w pięknej komnacie jakiegoś średniowiecznego zameczku. Znowu raport wyprężonego podoficera, zapoznanie się z meldunkiem i... badanie — tym razem od dotychczasowych bardziej szczegółowe. Sztabowiec polecił mi wskazać na mapie skąd szedłem i którędy. Wybrałem miejscowość możliwie odległą, przez którą istotnie pierwszego dnia przechodziliśmy jeszcze wszyscy trzej. Po dowiedzeniu się, że nie posiadam papierów, zrodził się w głowie podpułkownika szatański plan odesłania mnie motocyklem do merostwa celem sprawdzenia na miejscu moich zeznań! W tym jednak momencie przyjazny duch podsunął kapralowi, który mnie przyprowadził, myśl opowiedzenia przełożonemu mojej rozmowy z przygodnie spotkanym wieśniakiem, której był świadkiem. Relacja ta okazała się wystarczającą dla

ŚWIAT W OGNIU

(Za czas od 6 III do 20 III)

Widownia wschodnia. — W marcu wytworzyło się tam ciekawe położenie: Niemcy idą naprzód w południowej, Rosjanie zaś w środkowej części frontu.

Niemiecka kontrofensywa na Ukrainie poczyniła dość znaczne postępy, uwieńczone 15/III ponownym zdobyciem Charkowa, a 19/III Biełgorodu. W ten sposób niebezpieczeństwo okrążenia, grożące Niemcom w rejonie m. Stalino, zostało całkowicie odsunięte, — natomiast armie sowieckie zdołały dotąd utrzymać się na linii górnego Dońca, o który toczą się teraz zacięte boje. Dalsze wysiłki Niemców zmierzają do wzięcia m. Kursk (na płn. od Charkowa), ażeby odciążyć mocno napierany odcinek Oreł, atoli obrona sowiecka tężeje.

Na froncie na zach. od Moskwy ofensywa marsz. Timoszenki rozwija się nadal pomyślnie. Po odbiciu ważnego węzła kolejowego Wiaźma (12 III) celem dalszych natarć stają się silnie umocnione miasta Staraja Russa, Wieliż i Smoleńsk. Dużą rolę odgrywają tam brytyjskie i amerykańskie czołgi i samoloty.

Ponieważ Sowiety niebardzo się przyznawały do wydatnej pomocy materialnej, otrzymywanej od Anglii i Ameryki (pragnąc zapewne wywołać wrażenie, że odnoszone zwycięstwa są wyłączną zasługą ZSRR), ze strony tych państw ujawnione zostały niedawno imponujące cyfry z tego zakresu. Tak tedy sama tylko W. Brytania w czasie od 1/X 1941 do końca r. 1942 dostarczyła Rosji 3080 samolotów, 2974 czołgi, 4000 samochodów ciężarowych, 3000 ton materiału sanitarnego, 150 t. lekarstw, 50,000 t. gumy, 3 miliony par obuwia wojskowego, ponad 1 milion ubrań i mundurów wraz z bardzo wielką ilością sukna na płaszcze, 500,000 koców i 70 milionów pocisków małego kalibru. Oprócz tego wspólnie ze Stanami Zjedn. dostarczono: 831,000 t. metali i obrabiarek, 1 milion t. cukru oraz 2,500,000 t. pszenicy i mąki, Kanada zaś wysyłała w r. 1942 do ZSRR więcej niż 100 czołgów miesięcznie.

Jak widzimy z tego zestawienia, udzielona Sowietom pomoc w sprzęcie i materiale wojennym jest ogromna i bez niej na pewno nie byłyby one zdolne do zatrzymania oraz częściowego odrzucenia naporu niemieckiego ani dawniej pod Moskwą, ani tej zimy nad Wołgą.

Widownia zachodnia. — Działalność lotnicza Sprzymierzonych nad zachodnią Europą wykazuje niebywałe dotąd natężenie. W ciągu lutego i pierwszej dekady marca br. zrzucono na Niemcy i kraje obsadzone 14,000 t. bomb, podczas gdy za cały rok 1942 spadło na te obszary ok. 50,000 a w r. 1941 tylko 31,500 t. Celem ostatnich wielkich nalotów były m. in. Norymberga, Monachium, Stuttgart i Essen; nalot na sławne zakłady Kruppa w Essen (w nocy na 13 marca), przy którym zrzucono 10 milionów kg (1000 t.) bomb, był podobno najpotężniejszym atakiem powietrznym tej wojny.

Działania te wykonywane są przez potężne 4-silnikowe samoloty, Lancaster, Stirling, Halifax i Liberator, mające po 5-8 ludzi załogi a unoszące po 6-8 t. bomb.

Widownia afrykańska. — Niemiecko-włoskie próby pomieszania szyków przeciwnikowi a zarazem rozszerzenia swego ciasnego terenu przez nagłe i szybkie uderzenia, skończyły się na razie wyraźnym niepowodzeniem. Niedawny silny wypad Rommela z poza fortów linii Mareth odparty został z wielkimi stratami, a w środkowym Tunisie wojska amerykańskie odbiły 17/III m. Gafsa i w ten sposób znalazły się o 100 km od morza a o 160 km na tyłach pozycji Mareth. W najbliższym czasie należy się spodziewać walnego natarcia brytyjskiej 8 armii na fortyfikacje Mareth przy równoczesnym współdziałaniu sił sprzymierzonych z rejonu Gafsa-Kasserinne. Ostatnio ujawniono, że wojska sprzymierzone zostały tam zasilone większą ilością polskich asów lotniczych.

Pomimo stosunkowo niewielkich sił walczących, nie jest Tunis bynajmniej frontem o podrzędnym znaczeniu. Wynika to chociażby z faktu, że obie strony prócz wyborowych wojsk wprowadzają tam również swój najlepszy sprzęt bojowy. Tak więc po stronie niemieckiej pojawiły się w ostatnich walkach 42-tonowe czołgi »Mark IV«, uzbrojone w armatę 75 mm, jakoteż najnowszy »Mark VI« z długą armatą 88 mm, ważący 57 ton. Natomiast Brytyjczycy użyli tam poraz pierwszy — podobno z dużym powodzeniem — nowego czołgu »Churchill« z działem 106 mm. Zastosowano też z dobrym skutkiem amerykańskie działo szturmowe; jest to haubica 105 mm, osadzona na podwoziu czołgu »General Grant«. Sprzęt ten stanowi pancerną a bardzo ruchliwą artylerię, mającą szybkość do 50 km/godz. (S)

---

zmiany tak niebezpiecznej dla mnie decyzji. Widocznie zresztą mieli już dosyć kłopotów ze mną, bo ostatecznie usłyszałem z ust badającego mnie sztabowca:

— Nie włóczyć mi się blisko granicy bez dowodu osobistego. Wszędzie tam, gdzie my jesteśmy, musi być wszystko w porządku. Jesteście wolny, ale gdy was przychwycą jeszcze raz — będzie gorzej. —

Głęboko w duchu westchnąłem, ale teraz z kolei również postanowiłem się »postawić« i... zażądałem przepustki na prawo powrotu najkrótszą drogą (która wiodła właśnie w pobliżu granicy) do miejsca, gdzie rzekomo dawniej pracowałem.

Niestety, przepustki nie otrzymałem (jakżebym chętnie przechował ją na pamiątkę!), natomiast podpułkownik zapewnił mnie, że nic mi się złego nie stanie; w wypadku zatrzymania mogę powołać się na bytność swoją w sztabie i na fakt zwolnienia mnie tutaj.

Wyszedłem z pokoju wraz z kapralem. Wydał mi się nieco dziwnym sposób, w jaki pożegnał się ze mną na dole. Z magazynu bowiem, do którego przed chwilą przywieźli zapas butelek z winem, wziął jedną i, wręczając mi ją, mrugnął znacząco, życząc przy tym z uśmiechem, który mógł wyrażać również zgłębienie mojej tajemnicy:

— Bon voyage!

Dotąd nie wiem, czy istotnie domyślał się mego incognito, czy też był dla mnie naprawdę życzliwy. Raczej chyba to pierwsze...

Po kilkugodzinnym odpoczynku zdala od wałęsających się tu i ówdzie żołnierzy, ruszyłem znowu w drogę i, okrążywszy teren już mi znany a niebezpieczny, bez przeszkód przekroczyłem radosną granicę — i to prawie dokładnie w tym samym miejscu, gdzie mnie przychwycono. Niebawem wpadłem w objęcia moich dwóch towarzyszy, którzy, jak przypuszczałem, przedostali się bez przygód przez granicę.

Radości było, naturalnie, bardzo wiele...

Modest

WIEDZA O WOJNIE

Nowy rodzaj broni



Słyszy się często, że wojna obecna jest wojną maszyn. Brak jej istotnie romantycznego powiewu, jaki cechował dawne bitwy, gdzie »mąż zwierał się z mężem, a pierś uderzała o pierś«. Zmusza ona zarazem społeczeństwa państw wojujących do interesowania się narzędziami walki, wciągając wszystkich bez wyjątku w krąg bezpośredniego niebezpieczeństwa.

Taki stan rzeczy pociągnął za sobą zwiększenie uświadomienia ogółu w zakresie sposobów i środków prowadzenia wojny. Dziś nie tylko dorośli »cywile«, ale nawet dzieci rozpoznają doskonale sylwetki samolotów, rozróżniają często wybuch bomb od eksplozji miny, pamiętają historie desantów powietrznych, wiedzą o taktyce czołgów.

Jakże w tej sytuacji przedstawia się znajomość wojsk spadochronowych, tych osławionych »paraszutystów«? Stwierdzić należy, że ta dziedzina walki — najmłodsza w wojnie obecnej — jest ciągle prawie nieznana szerszemu ogółowi.

Właściwym zadaniem strzelców spadochronowych, jak i każdego innego rodzaju wojska, jest walka. Przelot w samolocie, wyskok, lot ze spadochronem — to tylko środki do celu, nie cele same w sobie. Stając do bezpośredniej rozprawy z nieprzyjacielem, spadochroniarz najczęściej ma już za sobą stoczoną zwycięską walkę z samym sobą, z własnymi instynktami z obawą przestrzeni. Lot i szybowanie w powietrzu nie były przecież nigdy przeznaczeniem człowieka.

Z założeń tych wynika, jak ważny jest dla tego rodzaju broni dobór ludzi, silnych cieleśnie i duchowo. Spadochroniarstwo jest jakby łańcuchem, którego ogniwa stanowią: dobra wola i wiedza techniczna; umiłowanie ryzyka i trzeźwa, realna ocena rzeczywistości; planowe, konsekwentne przygotowania — i nagłe zrywy improwizacji; przyjaźń posunięta do całkowitego zbratania — i zaciekłość w stosunku do wroga; rzemiosło — i humor. Bez tych sprzecznych na pozór czynników stracona byłaby istota spadochroniarstwa, jak stracony jest każdy dzień bez uśmiechu...

Działania spadochronowe znamionuje z reguły zuchwała zaczepność, inicjatywa, pomysłowość, zaskoczenie. Zmuszają one przeciwnika do nieustannej czujności. Myśl, że każdej chwili należy się spodziewać nieprzewidzianej akcji, niepokoi jak nękający ogień artyleryjski. Przeprowadzając atak, strzelec spadochronowy wybiera dowolnie czas, miejsce i sposób uderzenia. W tym leży jego siła i skuteczność.

Desanty powietrzne uderzają często wyobraźnię swym fantastycznym zuchwalstwem. Często wydają się niemal niewiarygodne. Wydać się może, że pomyślne ich wyniki przypisać należy jakiemuś szczęśliwemu zbiegowi okoliczności — po prostu »udało się«. Tymczasem w działaniach spadochronowych nie zostawia się nic przypadkowi. Muszą one stanowić precyzyjny mechanizm, w którym wszystko działa w sposób niezawodny. Nie ma w nich miejsca na posunięcia niezgodne z planem czy spóźnione wahania: tryumfy zbiera niepodzielnie przewidywanie.

(R)

Spadochroniarstwo w Polsce



Spadochroniarz polski — podobnie jak jego koledzy z innych rodzajów broni — szkoląc się i doskonaląc w Wielkiěj Brytanii w nowoczesnych metodach walki, przywołuje często na pamięć dorobek swych poprzedników w Kraju. Patrzy na nich z sentymentem, a nieraz i z podziwem. Jest im wdzięczny, że zapoczątkowali nową tradycję rycerską; jest zarazem dumny, że może tę tradycję kontynuować.

Gdy mowa o spadochroniarstwie nie sposób pominąć milczeniem faktu, że w porównaniu z innymi państwami rozwój spadochroniarstwa w Polsce przypada na okres stosunkowo wczesny. Już w r. 1936 w szkole Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej postawiono wieżę spadochronową. Część podchorążych obowiązana była latać na szybowcach, wszyscy zaś mieli przerabiać skoki z wieży. Ponadto obok innych kursów sportowych, zorganizowano specjalny kurs spadochronowy. W r. 1937 ukończyło go 50 podchorążych, którzy na zakończenie wykonali desant z samolotów na plac ćwiczeń w Ostrowi Mazowieckiej. W sierpniu 1938 na wielkich manewrach pod Łuckiem zostały przeprowadzone pierwsze ćwiczenia spadochronowe. W początkach 1939 r. powstaje Wojskowa Szkoła Spadochronowa w Bydgoszczy.

Zainteresowanie społeczeństwa polskiego dla spadochroniarstwa zataczało coraz szersze kręgi. Rozbudzała je niezmordowanie zasłużona Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Wiele pomysłowych imprez i racjonalnie zorganizowanych pokazów dało doskonałe wyniki. Do kwietnia 1939 LOPP wyszkoliła pokaźną liczbę ochotników spośród cywilnych i wojskowych. Wagę tej działalności podkreśla fakt, że stanowili oni właściwie kadrę instruktorską, przygotowaną do przekazywania nabytych umiejętności nowym kandydatom. Widoki dalszego szkolenia były zatem nader poważne — zwłaszcza, że młodzież garnęła się tłumnie do tego emocjonującego sportu.

Postawa ogółu nie była więc bynajmniej bierna. Na wystawie przemysłu metalowego i elektrotechniki w Warszawie np. największą popularnością cieszyła się... wieża do skoków. Któż mógł wtedy przypuszczać, że kiedyś podobna całkiem wieża polskiej konstrukcji stanie gdzieś w Szkocji na użytek polskich oddziałów i że jej artystyczne zdjęcia zdobić

Skok z balonu

Noc objęła w swe posiadanie stary park angielski. Noc nietutejsza, ciemna, fioletowo-szara, prawie polska. Drzewa posnęły, owce przestały szczypać trawę swymi małymi pyszczkami. Wydawać się mogło, że powietrze również zadrzemało.

Nie spał tylko Dumbo. Niedawno jeszcze przed zapadnięciem nocy widzieliśmy go leżącego na trawie. Sapał wówczas z cicha, zażywając rozkosznego odpoczynku z miną bardzo, ale to bardzo najedzonego zwierzęcia. Teraz jednak Dumbo wstał. Można było dojrzeć po przez nieruchome drzewa pękate zarysy jego postaci, poruszającej się z leniwą ociężałością.

Nikt w tę stronę nie patrzył. Siedzieliśmy na schodkach lekarskiego przytułku i polską piosenką usiłowaliśmy uśpić to, co prócz nas jeszcze nie spało, a więc przede wszystkim blade dziewczę z WAAF, dyżurną sanitariuszkę na lądowisku (o smutny losie wszystkich służbowych, czy w spodniach czy w spódnicy!). Każdy z rozśpiewanego bractwa, urzeczonego czarem nocy angielskiej, żywił w głębi serca nieśmiałą nadzieję, że może instruktorzy także zaśpią.

Jedna gwiazdka wyjrzała zza chmur. Owce przebudziły się nagle: rozległo się ciche beczenie. Ryknęła w pobliżu krowa i szczeknął (o dziwo!) pies. Jak na komendę przestaliśmy śpiewać. Poza drzewami ukazał się płynący majestatycznie po niebie — Dumbo. Nie był to żaden słoń, zrodzony z fantazji Walta Disney'a, ale po prostu b a l o n, z którego mieliśmy odbywać nocne skoki, a który w naszych rozmowach kojarzył się nierozerwalnie z wrażeniami filmowymi. Podobieństwo było wyraźne. Fascynowała nas w górze nieruchoma bryła — ciężka, nieporadna, wręcz słoniowata.

Czar parku prysnął. Okazuje się, że instruktorzy nie posnęli. Rzeczywistość zaskrzeczała w krzakach. »Będziesz skakał« — pomyślałem. Tymczasem Dumbo, holowany na śmiesznie cienkiej linie przez samochód, wytaczał się na środek lądowiska. U jego spodu widać było w gondoli mrugające światełka. Więc to z niej... Ktoś zaintonował śpiewnie: »Ach, zejdź do gondoli, kochanko ma!« — »Nie zejdzie, ale ty zato zlecisz!« — ryknął w odpowiedzi jakiś głos tubalny. Barkarola urwała się tak nagle, jak się zaczęła.

— Czterech pierwszych proszę do gondoli! — krzyknął instruktor. — Prędzej!

Nakładamy spadochrony i spieszymy w stronę świateł samochodu. Załadowaniem kieruje w ciemnościach kapitan, jak szef Hadesu, niesamowity, szerszy jakiś i wyższy. Siadamy tuż nad dziurą, każdy po innej stronie gondoli. Biedaczyna instruktor stoi za mną, usiłując obie nogi ustawić na jednym miejscu, na co jednak nie pozwalały prawa fizyczne.

— Gotowe! — krzyknął kapitan.

— Ready (gotowe)! — odezwał się Anglik.



Motor na samochodzie zadygotał niespokojnie i za chwilę ruszyliśmy do góry, a raczej ruszył Dumbo, ciągnąc nas za sobą. Z dołu dochodziły rozmowy i śmiechy kolegów. Nad naszymi głowami niezdarnie falował Dumbo. Z boku tuż nad brzegiem balonu zamigotała gwiazda. Wydało mi się, że to Dumbo spogląda na nas wesołym filuternym okiem.

— 100 stóp (1 stopa = 12 cali = 3048 cm)! — rozległ się głos w tubie. Motory i głosy z dołu stawały się coraz słabsze. Nie odczuwałem właściwie

---

będą szpalty wszystkich pism angielskich...

Ta bogata tradycja spadochroniarstwa polskiego święci dziś swoje tryumfy. Alianci, których Polacy mają zaszczyt szkolić »gdzieś« w Szkocji (w tzw. »małpim gaju«), przyznają zgodnie, że polski system ćwiczeń przygotowawczych do skoków spadochronowych jest celowy, konsekwentny i skuteczny. Skoczek po przejściu pełnego przeszkolenia jest opanowany, pewny siebie i niemal całkowicie uniezależniony od »pomyślnych warunków«. O zaprawie wstępnej, która początkowo wyglądała na tortury, wyraża się z uznaniem i wdzięcznością.

Zarówno w metodach szkolenia, jak i walki spadochroniarstwo polskie cechowała zawsze oryginalność i pomysłowość. Mamy w tej dziedzinie oblicze własne. Wiele przyrządów do ćwiczeń — włącznie z wieżą do skoków — jest dziełem polskich konstruktorów. Tak było dawniej, tak dzieje się obecnie, kiedy na ziemi brytyjskiej spadochroniarstwo polskie wkroczyło w nową fazę rozwoju.

Pomysły dotyczyły nie tylko strony technicznej szkolenia. W przeprowadzanych ćwiczeniach spadochronowych stosowano wypady dywersyjne na tyły nieprzyjaciela, opanowanie lub niszczenie obiektów przemysłowych, ośrodków komunikacyjnych i łączności, walki uliczne itd. Patrząc na to wszystko z perspektywy przeszłości, nie można się oprzeć wrażeniu, że pod niejednym względem zdołano przewidzieć charakter doświadczeń na polach bitew, które przyniosła wojna obecna. Wspomnienia ze szkoły bydgoskiej są pod tym względem szczególnie wartościowe. Zastanowienia godne są projekty zrzucania z samolotu działek ppanc., miotaczy płomieni, ciężkich karabinów maszynowych. Uderza celowe oporządzenie i wyekwipowanie skoczka, przystosowane do różnych specjalności wojskowych, jak saperów, łączności itd. M. in. przewidywano użycie przez spadochroniarzy radia i gołębi pocztowych.

Chlubą polskiego uzbrojenia spadochronowego był pistolet maszynowy »Mors«, kal. 9 mm, o ciężarze 2,5 kg, z celownikiem dostosowanym do odległości od 50 do 400 m. Został on wypuszczony z fabryki karabinów Radom i oddany do użytku wojska w lipcu 1939. Lufa dawała się wymieniać bez rozbierania. Pistolet ten chłodzony był powietrzem. Posiadał 2 spusty: do ognia pojedyńczego i ciągłego.

Przyszły historyk spadochroniarstwa w Polsce nakreśli niewątpliwie obraz pełniejszy i bardziej wyczerpujący. Nawet to jednak, co przechowało się w naszych wspomnieniach, utwierdza nas w przeświadczeniu, że — mimo swego niedawnego stosunkowo powstania — polskie oddziały spadochronowe posiadają własną, zaszczytną i wcale bogatą tradycję, górując pod tym względem nad niejednym krajem bogatszym i zasobniejszym.

(T)

żadnego ruchu. Spokój sprzymierzył się z ciemnością i ciszą.

— 300 stóp!

Zawiał lekki wiaterek.

— Patrz, jak Dumbo śmiesznie bije się z wiatrem — powiedział Zygmunt.

— Uhm! — odpowiedziałem niepewnie, zrobiło mi się bowiem nieswojo. Nie ze strachu czy wrażenia, o nie! Po prostu ze wstydu. Podczas lotu samolotem w ryku motoru, w szumie wiatru miało się świadomość szybkości, poczucie walki z żywiołem. Teraz w absolutnej ciszy, podciągany coraz bardziej w górę (— 500 stóp! — doleciało przez tubę), miałem wrażenie, że wdzieram się ukradkiem w cudze rejony, że wkradam się niedyskretnie w obce tajemnice, że... jakby zaglądam bezceremonialnie do cudzego pokoju przez dziurkę od klucza.

— Sześćset metrów!

Motor na dole ucichł zupełnie. Dumbo zakołysał się gwałtownie, jakby rozgniewany za to, że go wyżej nie puszczają. Zakołysaliśmy się i my nad dziurą. Zakłopotanie jakoś minęło. Nikt na mnie nie krzyczał. Nikt mi drzwiami nosa nie przyciął. Może więc nie popełniłem nic złego...

Cisza była tak przeraźliwa, że gdyby to wypadało, powiedziałbym — śmiertelna. Dziwnie się człowiek czuje mały wśród takiej ciszy. Nerwy, pozbawione doznań zewnętrznych, zlekka się rozluźniają.

— Red on (światło czerwone)! — ryknęła z dołu tuba.

O brzuch Dumbo odbiła się smuga czerwonego światła, po czym zamigotało zielone.

— Green on (światło zielone)! — powtórzyła tuba.

— Raz! — odpowiedział instruktor. I Zygmunta już nie ma.

— Dwa!

Mnie też nie ma. Lecę powietrzem. Spadam bardzo długo w pozycji prostej, jak na baczność. Słyszę łoskot mej taśmy uderzającej o dziurę, słyszę pękające sznurki, którymi jest powiązana torba spadochronu. Słyszę jak spadochron powoli się wyciąga, jak wreszcie (och, jakże długo lecę) z trzaskiem, gwałtownie nadyma się powietrzem. Wszystko słychać — wszystko: jakiś dźwiękowy rozbiór anatomiczny rozgrywa się wobec mego wyczulonego w ciszy słuchu.

Polubiłem cię, Dumbo, śmieszny, pomarszczony niezgrabiaszu. Dziwnie jesteś łagodny i staroświecki w porównaniu z Whitley'em czy Wellingtonem. Wywierasz wrażenie nie dzisiejsze, dziewiętnasto czy nawet osiemnastowieczne, budzisz wspomnienia Montgolfierów, choć jesteś od nich tak daleko. Jednak swym niezmąconym spokojem wytrącasz z równowagi i dlatego, chociaż mam do ciebie słabość, wolę skakać z samolotu. Rad jestem, że służysz tylko do ćwiczeń.

Gdy oddaliłem się od Dumbo tak, że dzieliło nas dobrych 300 stóp, żal mi się go zrobiło. Możem go skrzywdził?

Leciałem lekko w czarnej masie nocy. Usłyszałem głosy kolegów, ale nie mogłem nic dojrzeć. Czasza spadochronu wahała się łagodnie. W pewnej chwili poczułem dotknięcie ziemi. Zrobiłem prawidłową — tak mi się przynajmniej zdawało — wywrotkę i stanąłem na ziemi. Nade mną wysoko chwiał się Dumbo i wesoło mrugał światełkiem gondoli.

(St. F.)



NASZE SPRAWY

— Według wiadomości z Warszawy Gestapo przedsięwzięła 15 stycznia masowe aresztowania, które objęły wiele tysięcy osób. Listy zostały sporządzone zawczasu, areszty zaś i obławy przeprowadzone z wielkim pośpiechem. W ciągu 4 dni aresztowano w samej Warszawie 35,000 ludzi. Aresztowania rozszerzyły się także na inne miasta, zwłaszcza Kraków. Uwięzionych odsyła się w kierunku Lublina, prawdopodobnie do obozu koncentracyjnego w Majdanku, obliczonego na 80,000 osób.

Zdaniem gen. Sikorskiego chodzi tu nie o próbę zdobycia nowych sił roboczych dla niemieckiej machiny wojennej, gdyż czynne były nie urzędy pracy, a Gestapo. Jest raczej prawdopodobne, że Niemcy przez masowe na chybił trafił aresztowania usiłują unieszkodliwić wszelkie nielegalne organizacje, zarazem zaś zniszczyć naród polski. Ludność oczekuje zarządzeń odwetowych ze strony sprzymierzonych, a w swym podnieceniu ucieka się do czynnej samoobrony, co jest tłumione z największym okrucieństwem. Gen. Sikorski wspomniał o wysiedleniu chłopów z 6 okręgów Lubelszczyzny. Obecnie Niemcy wzięli się za okręg białostocki, skąd dotychczas deportowano 40,000 ludzi. Długie pociągi z dziećmi i młodzieżą z Lubelszczyzny przybyły do Warszawy. Tu po zbadaniu lekarskim nadający się do pracy chłopcy i dziewczęta wysyłani są na roboty do Niemiec. Gen. Sikorski dodał, że opór polski dotychczas nie został złamany, ale przecież nie da się prowadzić w nieskończoność...

Dodać należy, że podczas bytności w Stanach Zjedn. gen. Sikorski reprezentował wszystkie rządy Sprzymierzonych na emigracji.

— Niemiecki komendant m. st. Warszawy wezwał wszystkich zamieszkałych tam Niemców do niezwłocznego przeprowadzenia się do »niemieckiej dzielnicy« Warszawy. Po dn. 31 V żaden Niemiec nie może mieszkać poza tym niemieckim rezerwatem.

— Według listu z Warszawy z 24 I wszyscy mieszkańcy powyżej lat 16 muszą mieć tzw. karty rozpoznawcze — »Kennkarte«. Dla młodzieży, która ukończyła 16 rok życia, karta jest ważna do roku... 1947. Od grudnia ub. r. w Warszawie prąd elektryczny jest dopuszczany do mieszkań tylko od godz. 20 do 21, następnie dwa tygodnie od godz. 17 do 20 — i tak na przemian co dwa tygodnie.

— Dwaj żydowscy przywódcy socjalistyczni, Henryk Ehrlich i Wiktor Alter, o których zwolnienie długo i bezskutecznie zabiegał zarówno rząd polski, jak i przedstawiciele międzynarodowych organizacyj robotniczych, zostali straceni w Rosji, oskarżeni przez rząd sowiecki o to, iż byli »agentami obcych państw« i wzywali rzekomo oddziały sowieckie do niewalczenia przeciwko Niemcom.

— Poseł na kongres Stanów Zjednoczonych, Polak Lesiński z Michigan, oświadczył przy rozpoczęciu dyskusji nad przedłużeniem prawa o pomocy dla narodów sprzymierzonych, że zamiar Rosji przywłaszczenia sobie obszarów polskich, zajętych w myśl porozumienia niemiecko-sowieckiego z sierpnia r. 1939, osłabia wspólny przeciw-osiowy front narodów sprzymierzonych.

— 13 III min. Goebbels wygłosił przemówienie, z którego na uwagę zasługuje zwrot, że w przyszłości będzie rzeczą niemożliwą, aby z powodu jakiegoś małego narodu, jak polski, wynikła wojna. Dlatego też nowa Europa stać musi pod kierownictwem państw Osi.

— Ambasador Polski w Chinach Poniński wręczył marszałkowi Cziang-Kai-szekowi z ramienia naszego Naczelnego Wodza order »Virtuti Militari«.

— Obóz norweskich oficerów internowanych znajduje się w Poznaniu.

WIADOMOŚCI Z FRANCJI

— 6 II podane zostało do wiadomości zarządzenie gen. Giraud o utworzeniu »Rady gospodarki wojennej«, składającej się z 38 członków, z tego 12 muzułmanów. Rada ma reprezentować północnoafrykański przemysł, posiadłość ziemską i związki zawodowe, będzie więc jak gdyby przedstawicielstwem narodowym. W połowie marca zostały przedsięwzięte pewne kroki, zmierzające do usunięcia od wpływów na życie publiczne zwolenników Vichy. Także zarządzono usunięcie ze wszystkich lokali publicznych podobizny marszałka Pétain i jego wypowiedzi oraz wycofano z obiegu znaczki pocztowe z jego podobizną. Wydaje się, że zaznaczające się z wolna zbliżenie dwu kierunków »Francji Walczącej«, pozostających pod dowództwem generałów de Gaulle i Giraud, przyczyni się do okrzepnięcia sił tej Francji, która jest »immortelle«.

— Wspominaliśmy już o obowiązkowej służbie pracy, niedawno wprowadzonej we Francji. Pociągnęło to za sobą zgoła nieoczekiwane konsekwencje, mianowicie masowe uchylanie się francuskiej młodzieży od stawiania się na komisje poborowe i ucieczkę, najczęściej w góry. Ruch ten jest szczególnie silny w Sabaudii (Savoie), gdzie uciekinierzy ci grupują się w oddziały, dowodzone przez francuskich oficerów, a zaopatrywane w żywność, broń i amunicję przez lotnictwo Sprzymierzonych. Władze francuskie ściągnęły do Sabaudii posiłki w postaci policji i garde mobile, zaopatrzonej nie tylko w k. m. i wozy do transportu więźniów, ale i w głośniki przy pomocy których nawołuje się opornych do rozwagi. Ci co posłuchają głosu rozsądku są wywożeni do Austrii, Prus Wschodnich i na Śląsk. Zamierzona jest również wysyłka lekarzy, aptekarzy i weterynarzy. Transporty odjeżdżające z Paryża śpiewały »Międzynarodówkę«. Ludność okazuje wszelką pomoc opornym, natomiast np. włoskie władze okupacyjne nie wtrącają się w to, uważając całą sprawę za wewnętrzne zagadnienie francuskie.

Z ŻYCIA OBOZÓW

Teatr Żołnierski DSP

SPOSTRZEŻENIA WIDZA

Potrzeba było aż 3 lat, aby — pokonawszy wszystkie przeszkody — dopiero w lutym br. podnieść kurtynę i przedstawić się naszej braci żołnierskiej jako »Teatr żołnierski DSP«.

Jedna rzecz jest w tym wszystkim najważniejsza i bodaj najcenniejsza: oto ludzie ci mają w swoim programie myśl, której starają się nadać realne kształty; marsz jest coraz pewniejszy i pełen naprawdę nadziei. Dobrano zespół ludzi młodych, którzy głoszą że sceny myśl zdrową i jakże dzisiaj aktualną: miłość wśród narodów, zgodę i braterstwo wszystkich stanów. Jest poza tym dobrą nauczką dla tych, którzy w rozwydrzeniu swoim zapomnieli o bólu i cierpieniu zalewającym cały świat, o tym, że gdzieś za drutami ludzie walczą ze złem, że dokoła odbywa się walka nie o niskie instynkty ciała, ale o ducha — ducha, którego ludzka podłość jednak nie zmoże.

Teatr ten daje nam również wiele okazji do śmiechu, zdrowego żołnierskiego śmiechu, zrodzonego wśród nas i przeniesionego na scenę.

Czy nie dobrze byłoby, gdyby w tej scenie »Zgoda buduje« znalazły się jeszcze inne narody, aby zgoda była powszechna i mnoga? Więcej byłoby tanecznikow, a i barwniej na scenie. »Zwycięstwo ducha« wykonane jest pięknie przy wzruszającej melodii Chopina — jaka jednak szkoda, że dla podniesienia wrażenia nie połączono tej sceny z inną pt. »Stalag nr. X«. Efekt na pewno byłby większy. Możeby spróbować?

I znowu nowa myśl, wspaniała, budująca — w tej cudownej piosence c Lwowie i Wilnie. Bo jakże może być inaczej — Lwów bez Wilna lub Wilno bez Lwowa? Trzeba tę piosenkę śpiewać jak najgłośniej (przyjacielska rada), bo to niektórzy przygłuchli trochę w ostatnich czasach lub też udają, że nie słyszą...

Największą wartość pod każdym względem ma ostatnia odsłona. Jaka szkoda, że obcych, a tak mało o nas wiedzących, nie zaprasza się na te przedstawienia! Naprawdę warto byłoby im pokazać te polskie tańce góralskie i te nasze przedziwne stroje. Pamiętam tych górali z urodzenia, z prawdziwego zdarzenia, jak się pętali po różnych przygodnych scenach i gdy Dusza duszę w nich wkładał. Znajomość zawodu u p. Lubowickiego (który sam wystąpił jako Janosik) dała zespół taneczny, który doprawdy zasługuje na najgorętsze oklaski.

Mówi się powszechnie, że świat zginąłby bez kobiet (może raczej przez kobiety?) — twierdzę jednak, że teatr dywizyjny bez kobiet nie zginie. Nasze dziewczyny są rzeczywiście kapitalne, a mój sąsiad z lewej twierdzi, że niejedna z tych prawdziwych chciałaby mieć tyle uroku, co np. nasz młody Michalik.

Marynę wszyscy znamy doskonale. Świetnie się stało, że zamiast udawać teatr we dwójkę oraz nieść małowartościową wesołość — zabrała się do solidniejszej pracy. Tymbardziej, że potrafi tę pracę i zorganizować i dać o wiele lepszy humor. Z przyjemnością więc witamy Marynę w nowym otoczeniu i roli, stwierdzając, że pięćdziesiąte jej niedawne przedstawienie dla naszych żołnierzy jest naprawdę wielkim sukcesem.

Do całości należy jeszcze kilka słów powiedzieć o zapowiadaniu programu. Jest rzeczą wiadomą, że zapowiadanie to jest sztuka trudna, ale też i ważna zarazem. Jeśli chodzi o nasz teatr, to jest ono na razie mocno kulawe. A szkoda, bo w obozach są ludzie, którzy mają do tego niezgorszy talent i warunki. Jeden czlowiek, to niewiele, ale więcej — dużo mogłoby się przysłużyć. *(j. f.)*

LA SAUGE. — Przywiązujemy się do miejsca. Przywiązujemy się do ziemi, na której pracujemy, którą ręce naszy uprawiają. Żal nam ją opuszczać. Właśnie opuściliśmy z żalem kanton Uri, gdzie przepracowaliśmy prawie rok czasu. Ale trudno. Jedziemy gdzie każą. Mijamy Uri, Schwyc, Luzernę, Bern i wreszcie wysiadamy na małej stacyjce Gampelen. Zimno, wiatr dokuczliwy, a przed nami

daleka droga w nieznane. Wreszcie — Tonkin. Zimne baraki, pustkowie, równina i jeziora — Neu-Châtel i Murten. Z początku niechętnie zabieramy się do przygotowanej już dla nas pracy. I do »wyrównania« opinii, jaką pozostawili po sobie nasi poprzednicy. Powoli jednak »rozkręcamy« się. Na pierwszy ogień idą próby chóru, a kursy wieczorowe zaczynają ściągać słuchaczy.

A więc nasz obecny adres: La Sauge, kt. Vaud... Nie Tonkin, ale La Sauge. Z całą stanowczością zmieniamy nazwę, a resztę »nimbu« chcemy wymazać w oczach miejscowej ludności własnym przykładem i karnością.

Słuchamy radia (któż go dzisiaj nie słucha!), humor nas nie opuszcza, praca wre. Kopiemy tymczasem rowy odpływowe. Robota sucha — rozszerzanie rowu i mokra — pogłębianie; ta ostatnia ściąga więcej amatorów jako że lepiej płatna.

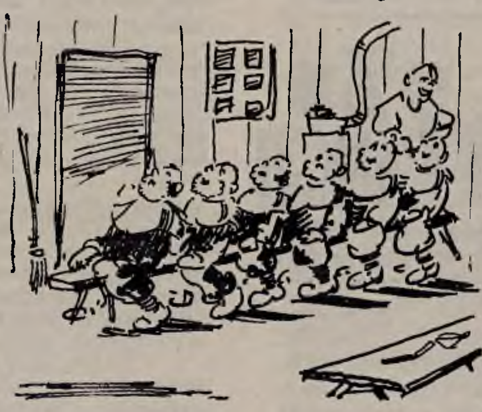
Świetlicę mamy trochę za małą, ale przecież niebawem nastanie wiosna...

(e. s.)

SISSACH. — Jak wielką sympatią cieszyli się Polacy w Sissach, świadczy koncert, zorganizowany 6 lutego br na odjezdnym naszych żołnierzy (do Frenkendorf) przez miejscowe społeczeństwo szwajcarskie. Inicjatorką koncertu była p. Berger, skrzypaczka. Program koncertu przedstawiał się jak następuje: Carla Diehl, śpiewaczka (pieśni polskie) z Winterthuru; Dorotha Berger, skrzypaczka z Sissach; Jacques Wildberger, pianista z Basel oraz chór naszych żołnierzy pod batutą asp. O. Całość koncertu wypadła nadzwyczajnie. Sala wypełniona była po brzegi. Dochód z koncertu wyniósł 266 fr; kwotę tę — zgodnie z założeniem — przesłano do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, przeznaczając na rzecz biednych dzieci polskich.

(j. p.)

Golibroda obozowy



Proces seryjny

HERISAU. — 31 stycznia odbyły się na Gäbris zawody narciarskie o mistrzostwo Akademii handlowej w St. Gallen w kombinacji alpejskiej. Polscy zawodnicy zajęli w slalomie trzecie (pch. P.), czwarte (por. J.), szóste (pch. Ch.) i dziewiąte (pch. G.) oraz w biegu zjazdowym czwarte (P.), szóste (Ch.) i siódme (J.) miejsce, klasyfikując się tym samym w kombinacji na trzecie (P.), piąte (J.), szóste (Ch.) i dziesiąte (G.) miejsce. Należy nadmienić, że konkurencja była silna, poziom wyrównany, a Polacy wypadli dużo lepiej niż w r. ub. *(chl.)*

* * *

Wieczór 9 lutego upłynął pod znakiem obrad społeczności akademickiej — »Studentenschaft« Akademii st.-galleńskiej. Na obrady (walne zebranie) zaproszone zostało dowództwo oraz chór żołnierski naszego obozu akademickiego. Nastrój zebrania, początkowo typowo sprawozdawczy, tracił powoli swoje oficjalne piętno, do czego w głównej mierze przyczynił się nasz chór pod batutą »aspiranta z wąsikiem« (G.). Odwdzięczając się za pieśń polską, studenci szwajcarscy wystąpili z kilku skeczami.

Po zakończeniu obrad głos zabrał rektor, prof. dr Hug, który wyraził swe zadowolenie z nawiązania pomiędzy studentami szwajcarskimi i polskimi kontaktu oraz uznanie dla pracy i wyników osiągniętych przez polski obóz akademicki. Ostatnie chwile zebrania wykorzystał asp. K., bawiąc swymi »Dyktatorami«. Pieśnią »Gaudeamus« zakończono wieczór.

(r)

CHUR. — W odcinku Graubünden został zorganizowany ostatnio turniej szachowy. Z obozu Chur zgłosiło się do turnieju 12 zawodników. Rozgrywki zakończono 10 ub. m. Pierwsze nagrodzone miejsca w naszym obozie uzyskali: sierż. Zizka F., strz. Nodzyński Z., st. sap. Myszkowiak Cz. i plut. Lelik M. Nagrody dla zwycięsców ufundowała miejscowa »Pro Polonia«.

(n. z.)

KRADOLF-HOHENTANNEN. — Mija 2 lata nieprzerwanej pracy naszych żołnierzy w tutejszym obozie. Pierwszy rok, to roboty drenarskie na przeszło 30 ha moczarów, oznaczanych jako Moos, czyli mech, po których tylko myśliwi brodzili za dzikimi kaczkami. W ub. r. bezmała cały zdrenowany obszar był już pod zasiewem.

Zebrane przez nas zbiory, sprzedane za 41,000 fr., przedstawiają się następująco: owies — ziarno 8.700 kg, słoma — 18.800, jeczmień — ziarno 2.400, słoma — 3.400, kartofle — 124.500 kg; warzywa: kapusta biała — 3.137 kg, włoska — 2.270, fasola — 1.223, marchew — 1.686, cebula — 610, sałata — 1.930 (sztuk), ogórki — 900 kg, groch — 456, szpinak 147, buraki cwikłowe — 120, kalarepa — 449 kg itd.

Gmina miejscowa, planując dalsze wykorzystanie nieużytków, powierzyła nam obecnie karczowanie 3 ha lasu z równoczesnym przygotowaniem ziemi pod wiosenną uprawę. Praca posuwa się szybko naprzód. Stosunek miejscowej ludności do nas jest b. życzliwy, co — jak sądzimy — zawdzięczamy wytrwałej pracy i nienagannemu zachowaniu. W okresie zimowym zorganizowano wykłady, z których korzysta cały obóz. Poza tym prowadzona jest indywidualna akcja samokształcenia. Stan obozu — 34 żołnierzy. *(b. p-ko)*

ALPNACH-DORF. — Jeszcze kilka słów na temat »wyczynów« sportowych 202 Modl. PAC. Chodzi o piłkę nożną. Początki były trudne. Pomoc jednak YMCA, praca całej drużyny i trenera kpr. B. dały piękne wyniki, które mówią same za siebie. W czasie od 15 VIII ub. r. do 6 I br. rozegraliśmy 12 spotkań, z czego 10 zwycięskich oraz 2 nierozstrzygnięte przy ogólnym stosunku bramek 54:22 na naszą korzyść. Skład drużyny przedstawiał się jak następuje: Saratowicz, Rogowski, Samołyk, Matuszak, Zalik, Tromski, Barylak, Manicki, Kargol, Tarchalski, i Konarzyński. W 2 ostatnich spotkaniach z powodu choroby naszych graczy z naszym zespole grali gracze z 4 psp. (Witek, Ciszewicz i Taczała).

Rozkaz z 12 stycznia o przeniesieniu części obozu Losone do Alpnach-Dorf rozbił drużynę. Część została w Losone, część zaś poszła w »nieznane« do kt. Obwalden. Obie jednak części już prowadzą akcję sportową. Losone, uzupełniając drużynę z Gudo, rozgrywa wspólnie z niedawnym przeciwnikiem z bojska nowe, pełne sukcesów spotkania, a część obwaldeńska tworzy na nowych śmieciach nową drużynę artyleryjską wspólnie z graczami z okolicznych obozów.

(b)

AFFELTRANGEN. — Nawiązując do korespondencji z naszego obozu, zamieszczonej w nr. 2 »Gońca Obozowego«, należy stwierdzić, że obraz Matki Boskiej Częstochowskiej wykonał kapr. K., jako inżynier i malarz, natomiast rzeźbę i całą budowę — artysta amator rzeźbiarz ogn. M. W dniu 11/XI 1942 odbyło się w obozie poświęcenie ołtarza polowego Parku artylerii dyw. oraz uroczysta msza św. Dalszy program tej uroczystości uroz-maiciły deklamacje i chór obozowy pod batutą bomb. K. Zarówno na tej uroczystości jak i na wigilii, spędzonej w b. miłym nastroju, był obecny wśród nas dowódca naszego zgrupowania ppłk R.

Pracujemy w dwóch grupach, reszta zaś u okolicznych gospodarzy. Poza tym wieczorami sporo kolegów uczęszcza na kurs szkoły powszechnej i buhalteryjno-handlowy. Ofiarność naszych żołnierzy na cele społeczne jest duża. M.in. na jeńców zebraliśmy 86 fr. oraz na dzieci polskie — 42 fr. Spółdzielnia nasza, która tak dobrze się zapowiadała, została, niestety, nie z naszej woli, zlikwidowana. *(st.)*

PODZWONNE

— **BARTLIŃSKI Marian, kanonier, ur. 1910, zmarł 19/II 1943 w szpitalu kantonalnym w Winterthurze.**



O solidarność w cierpieniu

Gdym przed dwoma laty rozmawiał z kolegami na temat zapoczątkowania Daru Narodowego 3 Maja, z którego dostałyby rodziny żołnierzy, pochodzących z Francji, zasiłki — sceptycy niedowierzali w powodzenie takiej akcji. Nie żeby żałowali 25 groszowego żołdu, ale że po prostu... nie wierzyli.

Stało się jednak. I oto dziesiątki rodzin polskich już od dwóch lat skromnie bo skromnie, ale zawsze coś tam z Daru Narodowego otrzymują, a ich ojcowie i synowie mają dowód spójni z ducha i serca narodowego zrodzonej.

Wszak wszyscy c i e r p i m y. Cierpimy mniej więcej jednakowo. A ponieważ o tę samą sprawę walczymy wszyscy, przeto nikt nie jest tańszym ani gorszym. Jednakowe mamy prawa i obowiązki, bez względu na rodzaj spełnianych czynności.

Przed rokiem mniej więcej zrodziła się myśl zorganizowania pomocy dzieciom w Polsce. Tym razem nie poszło tak łatwo. Jedni mówili: »Precz z symbolizmem!«, drudzy — że sami się o swe dzieci troszczą, a inni znowu co innego. Ale ostatecznie zdrowy instynkt narodowy zwyciężył. Gdym przeczytał w »Gońcu« wezwanie do składania datków na pomoc dzieciom w Polsce, mimo zimna zrobiło mi się cieplej na duszy i ciele.

— Czy dadzą? — zapytał mnie ktoś.

Zdziwienie mnie ogarnęło. Jakto: »czy dadzą?« Kto da? A raczej kto — uważacie — nie da?

— Ej, bo Pan to niby nie wie... — brzmiała chytra odpowiedź.

— Dadzą, na pewno dadzą, dadzą wszyscy.

— Ta niby powinni, bo to przecież nie o jakieś emigranckie dzieci się rozchodzi, ani o takie ot sobie. Takie to do głodu nie nawykły. Ja tam dzieci nie mam, ale czuję szkodę każdego dziecka...

I zaczęliśmy liczyć z moim przygodnym kompanem. Oto 2 miliony ludzi wywieźli bolszewicy, z czego więcej niż pół miliona przepadło. Ilu z nich pozostawiło dzieci bez opieki, któż to policzy! Albo ilu dzieci straciło ojców w obozach koncentracyjnych? Nie mało zginęło ojców i matek po wrześniu 1939...

— Tak, panie... Są miliony... I kto temu da łyżkę ciepłej strawy, przyniesie buciki czy koszulę? — rozmyślał głośno kolega.

Liczymy dalej. Gdyby nas np. było 10 tysięcy, a k a ż d y zaopiekował się j e d n y m dzieckiem, to by 10 tysięcy dzieci w Polsce przez 50 lat co najmniej pamiętało o internowanych kiedyś żołnierzach w Szwajcarii, a więc o nas wszystkich. A potem te dzieci powiedziałyby o tym swoim dzieciom...

— Tak, kolego, to ważne, bo tak w narodzie robi się jedność i miłość...

— Zgadzam się, ale skąd tu wziąć takich 10 tysięcy, coby mieli czy — może najważniejsze — c h c i e l i dać po 10 fr. miesięcznie?

— E, są tacy... A przecież ci, którzy więcej mają, mogą dać więcej — za tych, którzy mają mało. Przecież w naszej sytuacji można się ograniczyć, a tyle dzieci tam w taki sposób uzyska możność p r z e t r w a n i a!

A no — pomyślałem — może i są tacy, którzy dadzą więcej... Są przecież i tacy, którzy dadzą wszystko, co mają z tego ubogiego żołdu, który na nich przypada... Na pewno dadzą.

A przecież z o b a c z y m y, k t o i i l e d a...

P. A.



— **Zwracamy się do naszych Czytelników** z prośbą o przesyłanie pod naszym adresem (Redakcja »Gońca Obozowego«, Münchenbuchsee b/Bern)

a) gazet i c z a s o p i s m, względnie

b) w y c i n k ó w z gazet i czasopism (z zaznaczeniem nazwy, daty i numeru pisma, z którego wycinek jest zrobiony)

omawiających s p r a w y p o l s k i e lub Polski dotyczące (sytuacja w kraju, sprawy polityczne, kulturalne, gospodarcze, Polacy za granicą, w Szwajcarii itd).

Chodzi nam o każdą najdrobniejszą notatkę czy artykuł (również rysunki, ilustracje itd), które zostaną ew. wykorzystane w »Gońcu Obozowym« a poza tym złożą się na zbiór wycinków, dotyczących spraw polskich, co stanowić będzie do pewnego stopnia materiał historyczny dla przyszłych badaczy naszych czasów.

— **Dyrekcja Poczty Polowej** zawiadamia, że zwykle sporo przesyłek nadawanych za granicę, jest zwracanych z tego powodu, że ten, do którego przesyłkę się kieruje, nie zdołał uzyskać pozwolenia na wwóz towaru. Z tego powodu lepiej jest przed wysyłką upewnić się, czy adresat zezwolenie takie już posiada.

— **Odnalezieni.** Otrzymaliśmy zawiadomienie o miejscu pobytu niektórych osób poszukiwanych przez naszych Czytelników, a mianowicie znajdują się:

W Teheranie: Bajorski Edward i Teresa, Czechowiczowa Janina, Golawski Michał i Maria, Kolbuszewska Bronisława, Kaniak Antonina z d. Szankiewicz, Kaniak Bogusław, Kaniak Władysław (w wojsku), Masełek Józefa r. 1915, c. Wojciecha, Masełek Jan (w wojsku) Bojarska Teresa (siostra) 1935, Bojarski Edward, Milutka Zofia, Krystyna i Antoni; Minkiewicz Gertruda, Minkiewicz Józef (w wojsku), Moniuszko Leokadia, Nowicki Jan r. 1873, Nowicki Władysław 1904, Pisarik Maria r. 1894, Pisarik Tadeusz (w wojsku), Szylkiewicz Bronisława, Spólnik Apolonia r. 1926 (junaczka) córka Władysława i Bronisławy, Studzińska Janina PSK, Tataj Helena żona Aleksandra, Tataj Marian (w wojsku), Tataj Zofia (w wojsku), Trojanowicz Joanna, Trojanowicz January, Trella Stefania z d. Iwanicka, Trella Urszula, Trella Bogusław, Urzędowska Jadwiga, Barbara i Wiesława, Woźniak Teresa r. 1930, Wieligda Franciszka, Eulalia r. 1928 (junaczka), Romualda (junaczka), Watrasiewicz Bohdan s. Józefa, Watrasiewicz Nina PSK, Michałowska Maria, babka Bohdan, Przeździecki Zbigniew, Rink Zdzisław.

W Afryce: Lis Waleria, Danuta i Jerzy, Osuchowski Dr. Zygmunt, Postępska Maria, Solecka Janina z d. Postępska, Wieligda Zenon, Wołoszczuk Helena i Barbara r. 1934, Baranowska Jadwiga i Grzegorz.

W Anglii: Bojarski Jozef.

W Palestynie: Rink Maria, PSK.

Coś śmiechu

Mapa i kraj

Na pewnej wystawie w Szkocji znajdowała się wielka mapa Europy, na której wschodnia granica Polski biegła po linii niedawnej okupacji sowieckiej. Jeden z żołnierzy polskich wyjął ołówek i przeciągnął grubą kreskę we właściwym, przedwrześniowym miejscu.

Wnet podbiegło parę osób, wołając z oburzeniem:

— Jak pan śmie! Przecież to nie pańska mapa!

— Tak, ale to jest mój kraj! — odparł żołnierz.

Nikt się już więcej nie odezwał.

Trafna uwaga

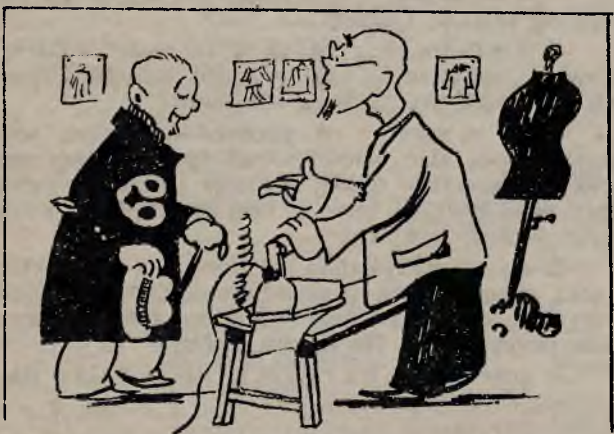
Noc. W pewnym małym miasteczku nalot. Syreny ryczą. Z jednego domu przez otwarte okno dolatuje zdenerwowany głos kobiecy:

— Poczekaj na mnie, znajdę tylko swoje zęby! Gdzie się podziały moje zęby?!

Po chwili znowu słychać zdenerwowany głos, lecz tym razem męski:

— Do licha z zębami! Czy ty myślisz, że oni będą zrzucali z góry kanapki?!!

Horoskopy powojenne



— Ja przychodzę w sprawie znalezienia u pana pracy.

— Gdzie pan przedtem pracował?

— W cenzurze prasowej.

Melodeklamacja

— Czy nie uważa pan, że moja zona deklamuje czarująco?

— Przepraszam, co pan mówi?

— Pytam, czy się panu podoba głos mojej małżonki?

— Pan wybaczy, ale ta baba tak się wydziera, że nie rozumiem, co pan do mnie mówi.

U lekarza obozowego

Strzelec, który nie poszedł do pracy, zgłasza się do lekarza:

— Panie doktorze, od kilku dni coś mnie bardzo kłuje w okolicy serca.

— Proszę się rozebrać.

— Jakto? pan doktór mi nie wierzy? że mnie tam kłuje?

Do weterynarza

Dwóch internowanych spotyka się na drodze.

— Dokąd tak lecisz?

— Do weterynarza, bo mnie koń kopnął w głowę.

— Jakto? idziesz do weterynarza?

— Tak, bo koń sobie kopyto uszkodził.

Rękawiczki

— Cisnął ci w twarz rękawiczką?

— Tak, i to w dodatku zapomniał ją zdjąć z ręki.

Zagadka

— Co to jest: im więciej się ciągnie, tym jest krótsze?

— ?

— Papieros.

Wyjątek z rozkazu kompanijnego

»Wszyscy wezmą udział w nabożeństwie w najbliższą niedzielę.

Zbiórka kompanii przed kościołem za kościołem, po kościele przed kościołem«.

Na koncercie

Internowany starszy pan z uwagą przysłuchuje się sie melodeklamacji. Za nim usiadł młodszy internowany, który ciągle rozmawia ze swoją uroczą sąsiadką.

— Panie, ja przecież nic nie słyszę! — mówi z oburzeniem starszy pan.

— A co to pana obchodzi, o czym ja rozmawiam z tą panią?...

W hotelu

Do hotelu przychodzi jakiś gość porządnie zawiany. Numerowy odprowadza go do pokoju.

— Dooobrze — powiada gość, — biorę ten poookoj, aaaale proszę mnie oooobudzić o jedenastej.

— Już jest jedenasta, proszę pana.

— No, to jaaazda, budź pan juuuż!

Rozrywki umysłowe

Tajemnicza księga

Myszy rozszarpały okładkę tej księgi. Jest to znana polska powieść. Spróbujcie złożyć jej tytuł z kawałków niesionych przez myszy.



ADRESY: Redakcja: Redaction du Journal des Internés polonais, Münchenbuchsee.
Administracja: Commissariat Fédéral à l'Internement, l'Officier de presse, Poste de campagne 17.
Wpłaty dla „Gońca Obozowego“ na (blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern

Cena „Gońca Obozowego“:
dla oficerów i aspirantów Fr. 0.30
dla podoficerów i szeregowców Fr. 0.15
dla osób cywilnych (kwartalnie) Fr. 1.80

L'Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major CORREVON
Commissariat Fédéral à l'Internement,
Poste de campagne 17.